

BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

NICOLE SNOW



BIUROWY

WREDNI SZELOWIE Z CHICAGO #1

TYRAN



Tytuł oryginału: Office Grump (Bad Chicago Bosses #1)

Tłumaczenie: Marcin Machnik

Projekt okładki: Justyna Knapik

ISBN: 978-83-283-9153-6

Copyright © 2020. OFFICE GRUMP by Nicole Snow

Polish edition copyright © 2025 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/biuws1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1.

SZCZĘŚLIWY PIĄTEK (SABRINA)



twieram oczy i od razu wiem, że to nie jest zwykły *dzień*.

To piątek trzynastego, najgorszy dzień, jaki kiedykolwiek wymyślono w historii czasu.

Dzień będący we władaniu zawodzących czarnych kotów, rozsypanej soli i zepsutych zegarów.

W taki dzień nie ma co oczekiwać, że coś dobrego spotka ciężko pracującą dziewczynę, która krzywo spała — bolesny skurcz w karku mówi mi, że dzisiejsza czarna magia zadziałała na moją poduszkę już wczoraj wieczorem.

Bosko.

Jakimś cudem udaje mi się zwlec z łóżka, wziąć prysznic i ubrać się bez utraty żadnej kończyny. Ale gdy wyskakuję z sypialni w nowiutkim wdzianku, dopinając zamek w botkach do kolan, i sprawdzam czas na telefonie, uświadamiam sobie, że nie tylko z moim karkiem jest coś nie w porządku.

Jestem cholernie spóźniona.

Najwyraźniej budzik w moim telefonie uwielbia ten niesławny dzień równie mocno jak ja.

— Oj, Brina, masz dziś randkę? Wyglądasz nieziemsko! Ale jesteś spóźniona. — Paige ze spokojnym uśmiechem wyciąga w moją stronę torebkę i papierowy kubek z kawą.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła? — mruczę. Nie wiem, czy powinnam przewrócić oczami na to, że gada same oczywistości, czy zgodzić się z faktem, że *naprawdę* byłoby mi znacznie gorzej bez takiej przyjaciółki jak ona.

Szarpięciem dopinam zamek buta, po czym biorę od niej kubek i torebkę. Mam na sobie swetrową sukienkę, żakiet i buty na obcasie, czyli kompozycję motywowaną raczej ciepłą jesienią w Chicago niż modą. Orzechowobrzązowe włosy spięłam rano w kucyk tylko dlatego, że to najszybsza fryzura.

— Na razie żadna randka nie jest ustalona. Wiesz, jacy dziwacy są na Tinderze — mówię i znowu sprawdzam telefon, marząc o tym, by czas zwolnił bieg.

— Bez obaw, uda ci się — odpowiada Paige z promienną pewnością siebie, którą chciałabym mieć. — Osobiście uważam, że rozsiewasz zabójczy urok przesadnej panny. Znasz przecież jego imię i już to przerabialiśmy...

— Jasne, i zawsze dochodzimy do tego samego pytania: wyglądam jak nastolatka czy jak wiedźma? — Widzę, jak Paige w odpowiedzi niewinnie mruga powiekami.

Boże. Chyba lepiej, gdybym faktycznie potrafiła robić jakieś czary, bo jeśli nie zdążę na autobus... będę mieć przerąbane.

Biegnąc do drzwi, przypominam sobie, że to dla mojej przyjaciółki sowy stanowczo zbyt wczesna pora na wstawanie.

— A tak w ogóle dlaczego nie śpisz?

— Idę do parku Lincolna na spotkanie z potencjalnym klientem. — Przeczesauję blond włosy dłonią w taki sposób, jakby dla każdego czymś najzupełniej naturalnym było wyglądanie tak ślicznie o tak wczesnej porze.

Może zaczerpnę od niej trochę pewności siebie i tej stylowej charyzmy.

— Dziś piątek trzynastego — przypominam jej. — Bądź ostrożna.

Siorbie głośno łyk kawy.

— Och, ty i te twoje czary-mary. W piątki wypadające trzynastego zdarzyło się wiele wspaniałych rzeczy.

— Na przykład? — wołam przez ramię, ale nie mam czasu czekać na odpowiedź. Nie oglądając się za siebie, zbiegam po schodach z nadzieją, że Paige ma rację.

Ale serio?

Wspaniałe rzeczy?

Dzisiaj?

Nie. Nigdy. Niemożliwe.

Biegnę wzdłuż ulicy i zerkam na przystanek...

...z którego właśnie odjeżdża mój autobus.

— No co za skur... — zaczynam, ale urywam w pół słowa, gdy łapię karcące spojrzenie przechodzącej starszej pani.

Zamiast zamyślić się nad tym, jak bosko musi się czuć, mogąc spacerować sobie tak wcześnie bez panicznych myśli o pracy, przykładam usta do kubka i siorbię tak głośno, jakbym chciała tym kogoś przestraszyć.

Spóźnię się po raz trzeci w tym miesiącu. *Super, super, kaczy kuper.*

Na szczęście poprzednie dwa razy nikt w biurze nic nie powiedział. Głównie dlatego, że zapieprzam jak wół i zawsze nadrabiam spóźnione minuty, zostając dłużej.

Wypijam kawę łapczywymi łykami, wyrzucam kubek do kosza i czekam na następny autobus, wypatrując kolejnych nieszczęść.

Jak dotąd nie zauważyłam żadnych kruczo-czarnych kotów z osobistą misją zrujnowania mi dnia.

Marna pociecha.

Gdy w końcu przyjeżdżam następnym autobusem i biegnę w stronę otwartych drzwi windy w firmie, metalowe skrzydła powoli zaczynają się zasuwać tuż przed moją twarzą.

Spóźniłam się już czterdzieści minut. *Znowu.*

Nie pozwolę, żeby te drzwi zamknęły się beze mnie w środku. Wyciągam nogę w ich stronę i macham nią, żeby trafić w czujnik, który z powrotem je otworzy.

Niestety zamykają się do końca.

I zakleszczają mój wysoki obcas.

Oj.

O Boże.

Wrywa mi się jęknięcie, gdy słyszę rozdzierające ciszę donośne *chrup!*
Kości?

Z łomoczącym sercem poruszam palcami stopy, przygotowana na najgorsze.

Ale nic mnie nie boli.

To tylko obcas, który nie trafił w czujnik. Gdy drzwi windy się rozsuwają, zmiażdżony spada na ziemię. Wskakuję do środka na tyle szybko, na ile da się to zrobić w butach na jednym obcasie i z westchnieniem podnoszę ten sprasowany z ziemi.

Cóż, takie rzeczy się zdarzają.

W końcu jest pieprzony piątek trzynastego.

Jeśli złamany obcas i niezdażenie na autobus to najgorsze, co mnie dziś spotka, będzie *doobrze*.

Ale gdy docieram na swoje piętro, od razu czuję, że coś jest nie tak. W głównej siedzibie Purry Furniture & More panuje dziwna cisza i zaczynam się obawiać, że za chwilę słodkie czarne kociaki z plakatów rzucą się na mnie z pazurami.

Zauważyłam także Vanessę, moją szefową, która stoi przy recepcji i się uśmiecha.

Jej uśmiech nie jest jednak miły, tylko raczej drewniany, jakby mówił: *hej, próbuję udawać, że wszystko jest okej, ale w rzeczywistości żongluję bombami atomowymi i za chwilę rzucę ci jedną z nich pod nogi.*

O co chodzi? O spóźnienie?

Wychodzę z windy, wymachując obcasem.

— Vanesso, przepraszam za spóźnienie. Coś mi się zawiesiło z budzikiem, a do tego miałam nieszczęsną przygodę z żarłoczną windą, więc...

— Vanessa nie pozwala mi dokończyć płacziwej opowieści, gdyż przerywa ją, unosząc rozczapierzoną dłoń.

— Żaden problem, Sabrina. Możesz wpaść na chwilę do mojego gabinetu? Muszę z tobą porozmawiać.

Dziwne.

Co najmniej tak samo jak złowieszczco formalne użycie mojego pełnego imienia. Dlaczego nie nazwała mnie Briną, jak zwykle? Przecież *wszyscy* mnie tak nazywają od zarania dziejów.

Idę za nią, utykając na złamanym obcasie, i przełykam zimną i gorzką skałę w gardle.

Piątek trzynastego.

Moja szefowa chce „porozmawiać”.

Jak bardzo mam przerąbane?

Wtacza się za swoje ogromne szklane biurko i z tym niepokojącym półuśmiechem na twarzy układa z palców wieżę.

— Cóż. Sabrino, nie ma dobrego sposobu na przekazanie tej informacji, a ty jesteś zbyt dobra, żebym owijała w bawełnę, więc powiem wprost: byłaś niesamowicie utalentowaną i ciężko pracującym członkiem zespołu kreatywnego w Purry. Absolutnie *kochamy* twoje projekty, ale... obawiam się, że stoimy w obliczu cięć budżetowych.

— Och. — Brzmi to przygnębiająco, ale jestem cennym członkiem tego zespołu. Sporo tu robię! — Myślałam... Mówiłaś, że moje projekty są fenomenalne. Połowa z nich jest wywieszona w biurze.

— Owszem, są. Trudna prawda jest jednak taka, że zdaniem właściciela, pana Tillisa, czas poszukać oszczędności i zatrudnić kreatywne talenty w tym samym miejscu, w którym produkujemy nasze meble. Jack znalazł sposób na uzyskanie podobnych projektów graficznych w Bangladeszu po dolarze za sztukę. Nie są, rzecz jasna, tak dobre, jak twoje, ale...

Nie słucham jej dalej.

Jack? Czy ona powiedziała Jack? *Jackodupek?*

— Masz na myśli tego hałaśliwego chłopaka, którego szkoliłam? Jacka stażystę?

Vanessa marszczy brwi, chrząka i przytakuje.

Jasna Hania. Mam ochotę przewrócić oczami tak mocno, że wypadną mi z orbit.

Teraz rozumiem, dlaczego tak go interesowało kręcenie się w pobliżu mojego biurka i zastanawianie się, które elementy procesu twórczego możemy — a raczej *on* może — zautomatyzować lub zamówić poza firmą. A wszystko dla niepłatnego stażu, który będzie mógł sobie wpisać do dyplomu ze studiów.

— Mam rozumieć, że jestem zwolniona? — pytam odrętwiale.

Vanessa robi wielkie oczy, jakby chciała powiedzieć: *przebóg, nie!*

Przez ułamek sekundy myślę, że ten dzień jednak nie będzie tak beznadziejnie tragiczny, na jaki się zapowiada.

— Daj spokój — szepcze, jakby to mogło złagodzić cios. — Pan Tillis woli nazywać to restrukturyzacją.

Krztuszę się wciągającym powietrzem i skupiam na powolnym oddychaniu, żeby odruchowo nie pokazać jej środkowego palca.

Nie sposób nie kochać tego geniusza zła, który wymyślił korporacyjną nowomowę w rodzaju *restrukturyzacji*.

Jakkolwiek to nazwiemy, zimna, brutalna rzeczywistość pozostaje bez zmian.

To trzecia praca na najniższym szczeblu, którą tracę w tym roku.

Ostatnim razem, na wiosnę, musiałam błagać Paige, by płaciła za mnie czynsz przez kilka miesięcy. Nie było to dla niej zbyt wielkim obciążeniem, bo urodziła się w dość zamożnej rodzinie, ale i tak tego nienawidziłam.

Żywiłam się też wtedy paszą w rodzaju makaronu ramen i zupek instant. A wyjście na piętnastocentymetrowego suba wydawało się ekstrawaganckim nadużyciem mojego budżetu.

Znam biedę młodych dorosłych w tym wielkim mieście i nie jest to przyjemne. Z całą pewnością nie uśmiecha mi się do tego wracać.

Vanessa wpatruje się we mnie zza biurka zmartwionym wzrokiem.

Myśląc o horrorze poszukiwań pracy związanym z koniecznością odkurzenia CV, przemierzania chodników i przypodobywania się ludziom, zaczynam się zastanawiać, czy nie jest jeszcze za późno, żeby cofnąć czas i uratować tę posadę. Może uda mi się zrobić tak dobre wrażenie na wyjście, że Vanessa dojdzie do wniosku, że popełniła koszmarny błąd.

Muszę ją jakoś skłonić do tego, by przegadała temu surferowi i potentatowi branży kocich mebli Tillisowi, że warto mnie zatrzymać...

— Vanesso, powiedz mi jedną rzecz... Czy jest coś, co mogłabym zrobić inaczej? Co pomogłoby mi w następnej pracy?

Vanessa obdarza mnie spokojnym, lecz smutnym uśmiechem.

— Pracowałeś bardzo wytrwale i miałeś bardzo pozytywne nastawienie. Obawiam się jednak, że nie byłeś z nami wystarczająco długo, żebym mogła udzielić ci jakiejś bardziej szczegółowej pochwały. Takie rzeczy się zdarzają.

Czuję drganie gałek ocznych.

O, tak, *takie rzeczy faktycznie się zdarzają* w spektakularnie okropny dzień, gdy cały świat obraca się wokół nieprzychylnej osi.

— Naprawdę chodzi o cięcia budżetowe. To nic osobistego i w żaden sposób nie odnosi się do twoich imponujących umiejętności — ciągnie.

— Ostatnia wypłata zostanie ci przekazana w następnym tygodniu. Zapłacę ci za dzisiaj, ale gdy się spakujesz, możesz wyjść.

Cudownie.

— A nie macie jakiejś, hm, innej pracy, którą mogłabym przyjąć? Nawet z niższą pensją?

W jej oczach pojawia się współczucie. Czyli absolutnie nie.

— Z businessplanem zakładającym obniżenie kosztów operacyjnych większość stanowisk asystentów osobistych zostanie przeniesiona na Filipiny. Jeśli chcesz, z przyjemnością zostawię sobie twoje CV...

Nie.

Dosyć.

Niech sobie to dokończy.

Zrywam się z krzesła i wychodzę, nie oglądając się za siebie. Czuję się, jakby wymierzono mi policzek. Ale tak serio, bardzo pasuje to do ścieżki kariery Sabriny Bristol.

Pierwszą pracę znalazłam w start-upie. Firma poszła w kanał kilka tygodni później, bo stała się niepotrzebna, gdy wielkie złe „G” wypuściło uaktualnienie własnej rewolucyjnej aplikacji.

Potem znalazłam pracę tymczasową, która miała skończyć się umową na czas nieokreślony. Płaca była tragiczna, a firma nie przedłużała umowy z żadnym z pracowników tymczasowych, więc okazała się kolejnym ślepym zaufaniem.

Firma Purry Furniture & More zdawała się idealnie do mnie pasować. Kocham zwierzęta, mimo tej gadki o czarnych kotach czarownic.

Gdy pominiemy fakt, że cała praca polegała zasadniczo na reklamowaniu mebli dla zwierzaków domowych, był to całkiem dobry punkt wyjścia. Kiepsko płacili, owszem, ale liczyłam na zdobycie doświadczenia zawodowego, otwarcie drzwi, wejście na kolejny szczebel drabiny, do licha.

Trzy pieprzone miesiące. Co to za doświadczenie?

To zaledwie mignięcie na radarze, czas potrzebny szefowi na podjęcie decyzji, że trzeba cię wywalić, skoro liczący grosiki półgłówek zalecił wyrestrukturyzować cię z firmy.

Nie odzywam się do nielicznych mijanych osób, które unikają mnie jak chorej na dżumę. Idę pozbierać rzeczy z biurka.

Szczerze mówiąc, nie mam zbyt wiele do zabrania.

Noworoczna fotografia ze mną i Paige na moło Navy Pier. Druga fotografia z Gwiazdki z rodzicami sprzed kilku lat.

Porozrzucane na blacie moje najnowsze projekty z rysunkowymi uśmiechniętymi kotami, które rozwodzą się nad tym, jak bardzo warte *miau* są najnowsze łóżka firmy. Nie zdążyłam ich nikomu pokazać i mam nadzieję, że zdrajca Jack ich nie widział.

Wbrew przekonaniu mojego szefostwa nie każdy potrafi przedstawić kocie i psie niebo tak *mrr-fekcyjnie*, jak udało mi się to zrobić na tych makietach. Zabieram je więc do swojego portfolio, żeby uchronić się przed przejęciem praw autorskich przez firmę.

Fotografie w ramach wrzucam do torebki. Ponieważ nie znajduję nic, do czego mogłabym schować wydruki, zwędzam wściekle różową i krzykliwie ozdobioną teczkę z biurka stażystki. W ramach rekompensaty rzucam jej na blat kilka dolarów. Nie zostawiam notki. Wątpię, żeby dziewczyna знаła moje imię.

Cała moja niezwykle wartościowa i profesjonalna praca mieści się w różowej teczce.

Nie zrozumcie mnie źle, lubię róż. Zawsze jednak wyobrażam sobie siebie z elegancką czarną aktówką, a nie w stylu zajawionej artystycznie licealistki.

Dziesięć minut po moim bezceremonialnym wyjściu, w tej samej windzie, która pożarła mi obcas, wibruje mi telefon.

Facet, z którym pisałam na Tinderze — Brad B. — pyta, czy chcę się spotkać o czternastej.

Może w końcu idzie ku dobremu?

Sądząc po zdjęciu, przynajmniej jest przystojny. Sprawia wrażenie pracowitego i mówi, że jest na dobrej drodze, by zostać partnerem w firmie księgowej. Jest fajny i zabawny, a jego autoironiczne wiadomości

wzbudziły we mnie przekonanie, że być może to ostatni normalny singiel w Chicago.

Jasne, może być w Sweeter Grind?, odpisuję.

Lepiej, żeby się zgodził. Umrę dziś bez dobrej kawy i ciastka.

Może być, odpisuje.

Spoko. Zalewa mnie trzepocząca nadzieja. Może Paige ma rację.

Straciłam pracę i obcas, ale może — nieśmiała „może” — w końcu los się odwraca.

Punktualnie o trzynastej czterdzieści pięć sadzam tyłek w boksie mojej ulubionej kawiarni i czekam na jego przyjście. Przetrząsam sieć w poszukiwaniu pracy dla grafika — bez skutku — i co chwila zerkam w stronę drzwi, wypatrując Brada.

O czternastej piętnaście piszę do niego z pytaniem, gdzie jest.

Nie odpowiada.

Za dziesięć piętnasta dupek nadal się nie zjawia i czuję się jak kosmiczna frajerka.

Ciekawe, jaką grafikę bym uzyskała, nakładając uśmiechnięte zdjęcie Brada B. z Tindera na osła?

Przechyliłam głowę w zadumie. W najgorszym wypadku byłby to zabawny sposób na to, by choć trochę sobie ulżyć.

Pieprzyć casperowanie¹.

Potrzebuję dawki słodkości ze Sweeter Grind. Czekam już tak długo, że ruszam do lady.

— Co podać? — pyta radosne czerwonowłose dziewczę z kucykiem.

Burczy mi z głodu w brzuchu, bo od rana nic nie jadłam.

— Proszę średnią cynamonową latte i ciastko „niedźwiedzi pazur” z serem². O, i jeszcze jedno czekoladowe ciastko truflowe.

¹ Caspering — okrutniejsza odmiana *ghostingu* (który oznacza nagle urwanie wszelkich kontaktów z kimś bez słowa wyjaśnienia), będąca nawiązaniem do bajki *Casper, przyjazny duch*. Caspering polega na tym, że zamiast zupełnie zerwać kontakt z partnerem lub partnerką, odpowiadamy z dużym opóźnieniem i wyrażamy zainteresowanie spotkaniem, ale nigdy się na nim nie zjawiamy — *przyp. tłum.*

² Niedźwiedzi pazur (ang. *bear claw*) — drożdżowe ciastko w kształcie łapy niedźwiedzia, z nadzieniem — *przyp. tłum.*

— Świetny wybór! To będzie dziewięć dolarów i dziewiętnaście centów — mówi.

Krzywię się, próbując odjąć dziewięć dolarów i dziewiętnaście centów od moich ostatnich pięćdziesięciu dolców, jakie miałam na koncie dziś rano. Nigdy nie byłam dobra z matmy, ale jakąś godzinę temu naprawdę liczyłam na to, że Brad B. zjawi się jak prawdziwy džentelmen i będzie nalegał na zapłacenie za moją przekąskę.

— Wszystko w porządku? — Kasjerka przez chwilę przygląda mi się uważnie.

Przenoszę wzrok za nią, na duże czarno-białe fotografie za kontuarem. Przedstawiają jakieś idylliczne miasteczko w górach, uśmiechniętą rodzinę i olbrzymiego faceta z pooraną bliznami przystojną twarzą, który obлизuje czekoladę z łyżeczki.

— Podziwiam wystrój. Nic mi nie jest — odpowiadam, ale czuję już w gardle ten posmak odżywiania się przez miesiąc makaronem ramen. W końcu przykładam kartę płatniczą do tego głupiego terminala. Nie powinnam wydawać tych pieniędzy, ale potrzebuję haju cukrowo-kofeinowego, żeby jakoś dać sobie radę z tym okropnym dniem.

Kilka minut później dziewczyna wręcza mi papierową torbę z moimi łakociami oraz kubek gorącej kawy. Wciągam w nozdrza cynamonową parę.

Słodka nirwana.

Skoro już mam wolne popołudnie, mogę równie dobrze się nim cieszyć. Postanawiam pójść z kawą do parku po drugiej stronie ulicy. Mam sporo do przemyślenia poza durniami, którzy nie przychodzą na randki. Na przykład co teraz zrobię, skoro straciłam pracę.

Krajobraz w parku zawsze mnie uspokaja.

Tym bardziej o tej porze roku, gdy drzewa porzucają zielone liście, a te zamieniają się w jesienny kalejdoskop czerwieni, pomarańczy, żółci i brązów.

Obejmuję ciaśniej ciepły kubek, gdy przechodzę przez ulicę i czuję chicagowską rzeźkość. Na szczęście moja ulubiona ławka jest pusta. Opaadam na nią z takim impetem, że cynamonowa latte wytryskuje przez otwór w wieczku.

Pięknie. Poplamiłam nową swetrową sukienkę.

Na dodatek straciłam łyk mojego napoju, a chciałabym naprawdę rozkoszować się jego smakiem. To moja ostatnia cynamonowa latte do czasu, gdy znajdę nową pracę.

Moja połowa czynszu to tysiąc dolarów miesięcznie. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnę taką sumę, a to najtańsze lokum, jakie udało nam się znaleźć w przyzwoitej okolicy.

Paige płaci więcej, bo jej pokój jest większy — odrobinę. Ale bogaci rodzice i zero kredytów studenckich oznaczają, że dysponuje takim luksusem jak oszczędności.

Ja mam debet, który cały czas rośnie, a teraz to chyba wystrzeli, jeśli jak najszybciej nie znajdę nowej pracy.

Ale muszę mieć pieniądze nie tylko na *mój* czynsz. W pewnym sensie utrzymuję też swoich rodziców, niezależnie od tego, czy o tym wiedzą (podpowiedź: nie wiedzą).

Ugh. Nie będzie łatwo bez wypłaty kupić w tym miesiącu książki mamy.

Po jakim czasie przynajną zasilek, tak w ogóle? Pewnie się nie kwalifikuję, bo nie pracowałam w Purry Furniture zbyt długo.

Poza tym *nadal* mamy piątek trzynastego. Minęła dopiero nieco ponad połowa dnia.

To wcale nie musi być koniec nieszczęść, które mnie spotkają, myślę gorzko, zjadając ciastko truflowe.

Na moment wędnę na ławce z uśmiechem, rozkoszując się cukrowym hajem.

Słodki Panie. Cokolwiek złego zmierza jeszcze dzisiaj w moją stronę, nie ma nic wspólnego z czekoladowym niebem, które eksploduje w moich ustach i kasuje wszelkie żale na całe trzydzieści sekund.

Gdy otwieram oczy, na trawniku krząta się jakaś ekipa z kamerami. Ich napięte i pospieszne ruchy wyrrywają mnie z zamyślenia.

Przysadzisty brodaty facet ocenia kadr przez ramkę z dłoni, odlicza w dół i krzyczy:

— Akcja!

Dwóch gości z kamerami zaczyna uwijać się po scenie. Posągowa kobieta stoi w środku tego kręgu niczym dziwaczna wyrocznia, z lekko przechyloną głową, w niebieskiej sukience powiewającej delikatnie na wietrze.

Jakim cudem w taki dzień *daje radę* chodzić w delikatnie powiewających ubraniach?

W drodze na ławkę niemal się przewróciłam z powodu wiatru. Albo z powodu złamanego obcasa.

Modelki. Ba.

One wiedzą, jak sprawić, by życie wydawało się łatwe.

W sumie wszyscy ci ludzie to potrafią. To prawdziwi artyści, urzeczywistniający obrazy, które zobaczyli w wyobraźni. Tworzą prawdziwą sztukę i zarabiają prawdziwe pieniądze.

Jestem zgorzkniała?

Owszem. *Jak najbardziej.*

Opuszczam wzrok na głupią krzykliwie różową teczkę na kolanach i zastanawiam się, kogo trzeba zabić, żeby zostać prawdziwym artystą z prawdziwą płacą. Oraz nad tym, dlaczego ta kobieta musi wyglądać tak idealnie.

Gdy podnoszę wzrok, ze sceny patrzy na mnie jakiś nowy facet.

Jasny Herkulesie.

Jakim cudem przegapiłam piorun, który zesłał tego gościa na ziemię? Przy tej perfekcyjnej modelce on wygląda wręcz bosko.

Ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wyrzeźbionych mięśni upchniętych we włoski garnitur, który przypuszczalnie kosztował więcej niż hipoteka moich rodziców.

Ta ostra linia szczęki, zabójcza.

Gęste piaskowo-brązowe włosy przypominające lwią grzywę.

Kości policzkowe, brwi, cień starannie wytrymowanej brody — to wszystko zdradza cień dzikości ukryty za wyrazem twarzy mówiącym: *nie toleruję żadnych wykrętów.*

Ale to jego oczy sprawiają, że ściskam kubek tak mocno, iż lekko go wgniatam.

No nie mogę.

Owszem, są niebieskie, ale porównać je do nieskalanego nieba lub prześlicznego klejnotu byłoby wręcz oszczerstwem.

Te oceanicznie błękitne oczy są jak przypływ, kryjący niespożytą energię, odległą, a jednocześnie tak bliską, że czuję ją niczym ozon przed burzą.

Pod wpływem jego spojrzenia przechodzi mnie prąd wzdłuż kręgosłupa i czuję mrowienie na całym ciele. Odruchowo podkurczam palce w niedopasowanych botkach.

On... na pewno też jest modelem, prawda? Ważniejsze jest jednak to, dłaczego patrzy na mnie niczym wzgardzony Casanova.

Oj.

O Boże.

Od wyrazu jego twarzy wszystko kotłuje mi się w środku. Mocno uniesiona jedna brew, zadziorny jak diabli.

Opuszczam wzrok w desperackiej potrzebie przerwania tego kontaktu. Po części też z obawy, że z moją garderobą jest coś poważnie nie w porządku, a ja o tym nie wiem.

Nie.

Sukienka nietknięta.

Serce nadal bije.

Majtki bezpiecznie ukryte tam, gdzie powinny być...

A przynajmniej taką mam nadzieję...

Gdy znowu na niego spoglądam, jego dziki wzrok jest skierowany z powrotem na plan zdjęciowy. Powoli wzdycham z ulgą.

Z tym swoim seksownym, magicznym spojrzeniem nieznajomy jest dokładnie tym rodzajem kłopotów, jakich dziś nie potrzebuję.

Przeniósł teraz wzrok na przysadzystego brodacza, którego uznałam za kierownika sesji, sądząc po tym, jak biegał między operatorami i panią idealną. Pociera policzek i z zaciśniętymi szczękami obserwuje scenę zimnym spojrzeniem.

Marszczę brwi.

Wszyscy zdają się pracować w pocie czoła, żeby go zadowolić, a on nie potrafi zdobyć się na nic więcej poza zrzędlwym wyrazem twarzy i sporadycznymi gestami?

Życie artysty jest bez wątpienia ciężkie, ale podlizywanie się wywyższającemu się garniakowi... Wrr.

Nie rozczulaj się zbyt nad losem tych ludzi, Brino, przypominam sobie. Bo pan garniak przynajmniej im płaci. Mam nadzieję.

Ale nawet jeśli im płaci, typowy z niego janusz biznesu. Tacy ludzie traktują artystę, który tworzy dla nich niezbędną im reklamę, jak śmiecia. A tymczasem bez artystów byłiby nikim.

Wpatruję się z gniewem na irytująco cudowną twarz palanta i siorbię głośno swoją latte.

W tym momencie niebieskie oczy modelowego pana znowu trafiają w moje. Tym razem nie ulegam i nakazuję kotłującym się motylkom w brzuchu spokój.

Wyciąga grubą dłoń w moją stronę i wskazuje na pomnik za moją ławką. Jakby kazał mi się odsunąć, nie mając na tyle przyzwoitości, by podejść i grzecznie poprosić.

Zły ruch. Bardzo zły ruch, panie neandertalczyku.

Oczywiście powtarza gest, tym razem bardziej wyraziście.

Jakżeby inaczej.

Serio? Nawet mnie nie znasz i myślisz, że możesz mi rozkazywać?

Prycham i twardo wbijam obcas — okej, obcas — w ziemię. Gdyby spojrzeniem dało się zabić, w miejscu zajmowanym przez jego zadowoloną z siebie, chamską i diabelsko perfekcyjną postać ziałby dymiący krater.

Minutę później grupa robi sobie przerwę i przysadzisty koleś z produkcji do mnie podbiega.

— H...hej — wyjąkuje, zatrzymując się przed ławką, na której siedzę, i opiera się o oparcie, żeby złapać oddech.

Rzucam mu obojętne spojrzenie i pociągam łyk latte, czekając na to, co będzie dalej.

— No więc, ehm, zastanawiałem się, czy jest szansa, żebyś się przeniosła? W tym miejscu jest lepsze światło dla naszych ujęć. Przepraszam, że o to pytam. Na pewno przyszłaś tu cieszyć się swoim dniem, ale... to dla nas ważne zlecenie. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś mogła się usunąć.

Gdybym mogła się „usunąć”? Jasne, natychmiast i z wdzięcznym uśmiechem zniknę z tego publicznie dostępnego miejsca, żeby wasz bogaty, zrędlivy szef mógł nakręcić swoje niebywale istotne ujęcia.

Zanim udaje mi się przeformułować te słowa w miłą odpowiedź — bo wiem, że ten koleś jest tylko przydupasem wykonującym swoją pracę — podchodzi do nas sam pan bogata świnia.

— Musisz się przenieść, panienko. Potrzebujemy tego miejsca. — Jego zręczliwy głos pasuje do jego aparycji.

Krzyżuję z nim spojrzenie i uśmiecham się. Nie dlatego, że z bliska jest równie barbarzyński, co przystojny.

— W tej chwili — dodaje po kilku długich sekundach, gdy nie wykonuję żadnego ruchu.

Mrugam, zszokowana jego bezczelnością. Otwieram usta, ale zanim cokolwiek odpowiadam, zaplata ramiona i marszczy brwi, przez co jego czoło wygląda jak chmura burzowa.

Idealnie pasuje do niego temperament bezdusznego greckiego boga.

— To miejsce publiczne. Nigdzie się stąd nie wybieram — odszczekuję, obdarzając go swoim najbardziej buntowniczym wyrazem twarzy. — Mama mi mówiła, że więcej much łapie się na miód niż na ocet. Może powinien pan spróbować.

Koleś unosi brwi.

— Doceniam błyskotliwość powiedzonek z prowincji, ale realizujemy tu kampanię marketingową z bardzo napiętym grafikiem, a pani kradnie nam nasze światło.

A, wasze światło.

Zapomniałam.

Tak w ogóle, to w jaki sposób *kradnie* się światło słoneczne? Czyżby był tak bogaty, że myśli, iż słońce należy do niego? Arogancja i mania wielkości stapiają się w jego przypadku w jedno, jak czekolada i masło orzechowe.

— Tak mi przykro. Założę się, że wydaliście kupę pieniędzy na tę kampanię, prawda? — pytam słodko.

Przytakuje, a jego czoło nieco się rozchmurza.

— Cieszę się, że pani to rozumie, więc niech się pani...

— *Rozumiem*, że powinniście zabukować bardziej odosobnione miejsce na swoją kampanię, skoro to sprawa życia i śmierci. O ile mi wiadomo, ten park to miejsce publiczne i nie ruszę się stąd, dopóki nie skończę swojej cynamonowej latte. — Unoszę kubek i głośno siorbię łyk.

Znowu krzyżuje swoje olbrzymie ramiona, które napinają się tak bardzo, jakby za chwilę miały rozerwać ten importowany materiał.

— Droga pani, skończyłem z uprzejmością. Jeśli nie zabierze pani stąd swojego tyłka, sam panią usunę.

Hola. To wcześniej to była uprzejmość? Ciekawe jak w takim razie wygląda jego nieuprzejmość... W tej chwili bardziej jednak interesuje mnie powiedzenie temu bogatemu prześladowcy, gdzie może ją sobie wsadzić.

Unoszę dłoń i prezentuję świeżo zrobione — w weekend — paznokcie.

— Lepiej niech pan to przemyśli. Jeśli mnie pan dotknie, wbiję panu moje tipsy tak głęboko w tę śliczną twarz, że będzie trzeba je wyszarpywać strażackimi szczękami hydraulicznymi. *Kapewu?*

Zaciska zęby.

O, tak, *tyran* przed duże „T”. To pewnie jego ulubiony wyraz twarzy — zaciśnięte zęby z taką siłą, jakby zaraz miały popękać.

Nagle jednak po prostu wzdycha, przeczesuje włosy dłonią i obdarza mnie oszałamiającym spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

— Ha, ha, ha, śmieszne. Gratulacje. A teraz, gdy już skończyła się pani wygłupiać, sio.

Mrugam, nie wiedząc, co na to powiedzieć. Czy ja naprawdę nazwałam go *ślicznym*?

Niestety jest już za późno, bo słowo się rzekło i mimo że pokazał się w trakcie naszej krótkiej znajomości z najgorszej strony, to trzeba przyznać, że potrafi robić czarujące spojrzenie.

Do licha, gdybym była kierownikiem obsady, dałabym mu rolę pana Darcy’ego. Wiecie, sprzed tej całej jego przemiany.

Biorę kolejny mały łyk cynamonowej odwagi, smakując ją powoli i zastanawiając się, jak daleko chcę się w tym posunąć.

— Lepiej niech się pan odczepi i pozwoli mi w spokoju dokończyć kawę — odpowiadam zrównoważonym tonem. — Wkrótce skończy wam się dobre światło do zdjęć. Słońce bardzo szybko nurkuje za horyzont o tej porze roku.

Jego śmiertelnie wściekle spojrzenie sprawia, że naprawdę zaczynam się bać.

Poprawiam nogi i ta niedorzecznie różowa teczka zsuwa się z moich kolan, po czym uderza w ziemię z głośnym *pac*. Wysypuje się z niej pół tuzina rysunkowych kotów i cały mój geniusz zostaje obnażony przed światem.

Uzmysławiam sobie, że muszę je przygwoździć nogą, żeby ich nie zwało, ale nie udaje mi się tego zrobić.

Garniak schyla się po moje rysunki. Mięśnie trzeszczą pod materiałem, a w jego oczach pojawia się okrutne zadziwienie.

To nie fair.

Dlaczego mężczyźni o niebezpiecznie przystojnych ciałach muszą okazywać się ogrami?

Przegląda w milczeniu wydruki, nie podejmując żadnej próby zwrócenia mi ich. Chrząkam i nasze spojrzenia znowu się krzyżują. Nie odważę się przyznać, jak mała się teraz czuję.

— Proponuję umowę. Pani koty, które uprzejmie uratowałem przed wiatrem, za moje miejsce do zdjęć. — Uśmiecha się, ale nie w przyjazny sposób. — Jest pani rysowniczką? Czy raczej kotowniczką?

Powstrzymuję przewrócenie oczami, które byłyby tak intensywne, że przypuszczalnie wyładowałabym na ostrym dyżurze.

— Ha, ha, ha. Ależ oryginalne. Mam nadzieję, że zatrudnia pan copywriterów.

— Moi copywriterzy to jedni z najlepszych w kraju, od wybrzeża do wybrzeża — oznajmia z dumą.

— Super, w takim razie na pewno jest pan ustawiony. Bóg wie, że nikt nie zapłaciłby za pana dowcipy — odparowuję.

— Do licha, ależ pani jest pyskata — burczy.

Ot tak. Stwierdza fakt. Nie jest przy tym wyłącznie wściekły i obraźliwy. Wyczuwam w jego głosie nutkę rozbawienia, jakby *pyskatość* była czymś, co wzbudza jego zainteresowanie.

Bosko.

Zna mnie z tej trzypięciominutowej próby wyrzucenia mnie z publicznej ławki i przylepił mi łatkę „pyskatej”. Czy to nie on sprowokował mnie do takich reakcji?

Cóż, ja też potrafię przylepiać łatki.

Nie dość, że jest bogatym garniakiem, nieznosnym gorącym ciachem i tyranem parkowym, to jeszcze zdaje się być jednym z tych facetów, według których kobiety nie powinny się odzywać.

Obdarzam go udawanym potulnym uśmiechem.

— Och, przepraszam, wasza wysokość. Dołożę starań, żeby bardziej mnie było widać niż słyszać. Oczywiście będzie mnie *widać* na tej ławce, dopóki nie będę miała dosyć i nie zapragnę się przespacerować.

Znowu zaciska zęby i spomiędzy warg na moment wściekle przebły-skują białe zęby. Spogląda w stronę słońca, mruczy coś pod nosem, po czym wraca spojrzeniem do mnie.

— Szczerze powiedziawszy, panno uparta, obojętne mi to, czy bardziej panią widać, czy słyszać, pod warunkiem, że zniknie pani z tej ławki. Blokuje pani światło. Już to pani powiedziałem.

Najśmieszniejsze jest to, że przypuszczalnie od razu bym stąd poszła, gdyby poprosił o to *grzecznie*.

Ale on wybrał zły dzień na konfrontację z moją dumą i teraz mam misję.

Ta ławka jest *moja*, dopóki nie stwierdzę inaczej.

— Kiedy? Nie słyszałam nic takiego — odpowiadam z ziewnięciem, zerkając w telefon.

Przewraca oczami tak mocno, że wyglądają, jakby miały mu się przykleić od spodu do czaszki.

Tłumię śmiech. Ta główniana konfrontacja jest przynajmniej choć trochę zabawna, czyż nie?

— Jestem pod wrażeniem! Przewraca pan oczami lepiej niż trzynastoletnia cheerleaderka — stwierdzam rzeczowo.

— Tylko wtedy, gdy trafię na kogoś tak krnąbrnego, infantylnego i rozbawionego jak pani — odburkuje.

— Cóż za wyszukane słowa. — Wzruszam ramionami. — Od razu widzę, że to bzdury.

— To powinna pani sobie zbadać wzrok. Nie widać tu żadnych bzdur.

— Hmm, może ma pan rację — przyznaję powoli, przechylając głowę.
— Widać tylko frajera w przeplaconym garniaku, który zgrywa waźniaka. I usilnie stara się przypomnieć maluczkim, gdzie ich miejsce.

— Nie ma pani... Znajdź sobie, kobieto, inne cholerne miejsce i kogoś innego do wkurzania. W tej chwili. — Jego głos jest jak dobyta szabla i pobrzmiwa w nim surowe męskie ostrzeżenie.

— Czy pan właśnie na mnie warknął? — mrugam powiekami, starając się nie zachichotać.

— Dlaczego w ogóle chodzi pani po Chicago z tęczką pełną kotów? — Poprawia węzeł krawata tymi dużymi, wściekłymi palcami, co przykuwa mój wzrok na dłużej, niż bym sobie tego życzyła.

— A co to pana obchodzi? — Wbijam wzrok z powrotem w ziemię. — Pracuję, *znaczy pracowałam*, w firmie produkującej meble dla zwierząt domowych.

— Meble dla zwierząt domowych? — powtarza takim tonem, jakby był o jeden oddech od parsknięcia mi w twarz.

Nie.

Właśnie wkurzył niewłaściwą dziewczynę. Mam dosyć tej utarczki. Nie potrzebuję dalszej gadki, żeby wydostać się z tej biedy.

Mam za sobą piekielny dzień i ostatnim, czego potrzebuję — naprawdę ostatnim — jest naśmiewanie się przez dupka w garniturze z kompleksem Boga. Przykładam kubek z kawiarni Sweeter Grind do ust i nabieram w nie wszystko, co w nim zostało, ile tylko jestem w stanie w nich pomieścić.

Potem nachylam się, opuszczam wzrok, wymierzam i *opryskuję* cynamonową kawą jego kosztowne włoskie buty.

To by było na tyle, jeśli chodzi o rozkoszowanie się smakiem. Trochę szkoda, że wydałam blisko dziesięć dolców na tę nieoczekiwaną randkę z chicagowskim szatanem.

Ale efekt jest tego warty.

Koleś nie wydawał się zdolny do jakichkolwiek innych emocji poza czystą palącą wściekłością, ale teraz w jego zimnym spojrzeniu dostrzegam przebłyśki czegoś innego.

Skrajne przerażenie. Szok. Może nawet odrobinę człowieczeństwa — w końcu!

Nie mówi nic, wpatruje się tylko w te swoje przemoczone buty ze ściągniętymi ustami, jakby zastanawiał się nad odwetem.

Uśmiecham się tryumfalnie.

Pokaźny brodacz milczał przez cały czas i zapomniałam o jego obecności, ale teraz przykładą dłonie do policzków i patrzy na nas z bezbrzeżnym strachem.

— Ja... ja zaraz przyniosę chusteczkę — szepcze. — Zaraz wracam!

Odbiega pospiesznie, a ja podsumowuję wynik.

Pechowa dziewczyna: 1.

Absolutny palant: 0.

Uśmiecham się z góry do tego aroganckiego buca z butami ociekającymi moją latte i powoli wstaję.

— Oddaję miejsce, szanowny kolego. Skończyłam kawę.

Wymierzywszy swoją końcową ripostę, odchodzę gniewnym krokiem.

A przynajmniej *próbuję*.

Trudno odejść gniewnym krokiem w jednym bucie o siedem centymetrów niższym od drugiego.

— Zostaw tę chusteczkę, Hugo — mówi za mną król buców. — Musimy jak najszybciej dokończyć zdjęcie.

Nie mogę się oprzeć i odwracam się przez ramię. Palant nadal mnie obserwuje z wyrazem twarzy, którego nie potrafię tak do końca odczytać.

Nie wydaje się już wściekły ani upokorzony.

Bardziej jakby... niezręcznie rozbawiony?

Okej, super, mój złamany obcas jest śmieszny. Łatwo się śmiać z butów, które nie nadają się do chodzenia.

Najgorsze jest jednak to, że nawet po tym wszystkim nadal wygląda bosko. W tej napiętej pozie jaskiniowca upchniętej w jedwabny garnitur trudno go zignorować, a jeszcze trudniej powstrzymać się przed ślinieniem się na jego widok.

A może po prostu jestem wykończona nerwowo.

Jezu. Muszę wrócić do domu i się położyć. I obudzić się dopiero w sobotę czternastego.

Ale najpierw chyba powinnam sprawdzić, co u rodziców. Piątki najlepiej się do tego nadają. Zanim pójde w kimę, powinnam też zacząć przeglądać ogłoszenia o pracę i ich nieprawdopodobne wymogi.

Dotrwam do czternastego.

Na pewno.

Nie dam się żadnym burczącym, przystojnym egomaniakom.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Wredny szef. Urocza asystentka. Zasady nie do złamania...

Takie rzeczy po prostu się zdarzają. Trzynastego w piątek Sabrina Bristol złamała obcas i straciła pracę. Nic nie wyszło z obiecującej randki. Jej próba pocieszenia się cynamonową latte na ławce w parku zakończyła się awanturą z aroganckim przystojniakiem w jedwabnym garniturze. Satysfakcję sprawiło jej jedynie rozbryzganie kawy na jego włoskie buty. Na szczęście ten piątek minął, a już następnego dnia Sabrina otrzymała zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną. Zaoferowano jej wyjątkowo dobrze płatne stanowisko asystentki osobistej. Brzmiało wspaniale... był tylko jeden problem: jej szefem miał być arogant z parku.

Nazywał się Magnus Heron i jak dotąd nikt na stanowisku jego asystenta osobistego długo nie wytrzymał, co więcej, wiele z tych osób potrzebowało terapii. On z kolei potrzebował kogoś błyskotliwego i z temperamentem: takiego jak Sabrina, której śliczne oczy i kobiece kształty zwróciły jego uwagę. Postanowił więc dać dziewczynie posadę asystentki.

Magnus był wymagającym i burkliwym szefem, a praca asystentki okazała się wykańczająca. Wkrótce oboje zrozumieli, że napięcia między nimi nie wynikają wyłącznie z niechęci. Romans nie wchodził w grę. Byłby zbyt skomplikowany. Zbyt ryzykowny. Skończyłby się katastrofą.

NICOLE SNOW jest autorką bestsellerów z list „USA Today” i „Wall Street Journal”. Pierwszy romans wydała w 2014 roku. Uwielbia pisać o gburowatych samcach alfa i temperamentnych kobietach, a jej powieści są pełne suspenseu i wzruszających scen. Uwielbia siedzieć ze swoim kotem przy kominku i czytać dobre książki.

● CUTE
●● SENSUAL
●●● SPICY
●●●● DARK



ebook dostępny na:
ebookpoint

